

Warszawa
16-01-2013
DZ. / Nr 13

Verdi w grobowcu

Don Carlos w Operze Narodowej: bezbarwni śpiewacy w minimalistycznej inscenizacji

Teatr Wielki - Opera Narodowa rozpoczął rok 2013 od premiery „Don Carla” Giuseppe Verdiego, wpisując się tym samym w obchody 200. rocznicy urodzin włoskiego kompozytora, które przypadną w październiku. Celebrować Verdiego specjalnie nie trzeba, wszak jego dzieła stanowią podstawę wszystkich teatrów operowych. Warto jednak przy takich okazjach pokazać tytuł mniej znany czy też rzadziej wystawiany.

„Don Carlos” to arcydzieło - napisane dla Paryża, gdzie miało swoją premierę w 1867 roku - które wskutek kolejnych poprawek, redakcji i adaptacji straciło na swym blasku. Oryginalny „Don Carlos” był wystawiony do francuskiego libretta, później za zgodą samego kompozytora grano operę po włosku. Niektórzy badacze sugerują, że dziś wersję włoską powinno się wystawiać wyłącznie we Włoszech. Coś w tym jest.

W Warszawie nie skorzystano z okazji wystawienia wersji oryginalnej, sięgnięto po najbardziej rozpowszechnioną czteroaktową wersję mediolańską (premiera w 1884 r.) ze skreślonym aktem pierwszym rozgrywającym się w Fontainebleau, co zdecydowanie wpływa na rozwój akcji, bowiem pozbawieni jesteśmy jej zawiązania (pierwszego spotkania Elżbiety i Carlosa).

Warszawski spektakl jest przeniesieniem produkcji, która miała premierę w Amsterdamie w 2004 roku. Niemiecki reżyser Willy Decker znany jest ze swojego zamiłowania do scenicznego minimalizmu. I taki jest jego „Don Carlo”. Ta oszczędność pozostaje największą siłą spektaklu - całość rozgrywa się w gigantycznym marmurowym grobowcu upamiętniającym kolejnych władców Hiszpanii. Bohaterowie opery są w nim zamknięci, osaczeni, starają się z niego wyrwać - bezskutecznie. Czystość, klarowność poszczególnych scen (dość podobnych estetycznie) tworzy ciągłość. Ładne, stylowe - choć wcale nie archaiczne

- kostiumy (autorstwa Wolfganga Gussmanna, także scenografa) doskonale wpisują się w aurę XVI-wiecznego hiszpańskiego dworu miotanego intrygami, zdradami, żądzą władzy. Wszystkie te elementy budują spójną całość, z którą powinna współistnieć muzyka.

I tu zaczynają się problemy. Poza Rafałem Siwkiem w partii króla Filipa, który z aktu na akt brzmiał coraz lepiej, trudno jest wskazać mocne punkty obsady. Więcej oczekiwałem po już utytułowanej Ukraince Natalii Kowalowej śpiewającej rolę Elżbiety, która w Warszawie wypadła po prostu poprawnie. Historycznie śpiewał Giancarlo Monsalve, chilijski tenor kreujący partię tytułową, dość blado brzmiał Davide Damiani w partii Rodriga. Księżna Eboli, Agnieszka Zwierko, potęgą głosu starała się zdominować partnerów, podczas gdy tej siły zabrakło u Radosława Żukowskiego, który przecież jako Wielki Inkwizytor powinien przerażać...

Carlo Montanaro, dyrektor muzyczny Opery Narodowej, sprawną ręką poprowadził spektakl, chociaż nie udało mu się stworzyć prawdziwego dramatu i napięcia. Nie budował kulminacji, nie porwał zespołu. Ale trudno było mu stworzyć prawdziwy dramat na scenie, bowiem pozostał osamotniony. Willy Decker nie pojawił się w Warszawie, przeniesieniem produkcji z Amsterdamu zajmowała się Meisje Hummel, reżyserka wznowienia, której rola ograniczała się wyłącznie do elementów zadań. Trudno po obejrzeniu spektaklu stwierdzić, w jaki sposób niemiecki reżyser chciał poprowadzić i scharakteryzować swoich bohaterów i czy rzeczywiście warszawski „Don Carlo” pozostawał zbieżny z jego oryginalnymi pomysłami.

W Polsce jakieś fatum wisi nad arcydziełem Verdiego. ●

JACEK HAWRYLUK, POLSKIE RADIO